NUMER 24. DNIA 15-go CZERWCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

PIOTR CHMIELOWSKI

Adolf Dygasiński.

Przestało bić szlachetne serce, zawsze gotowe nietylko współczuć z nieszczęśliwymi, ale także dążyć do ulżenia im niedoli, zawsze ochocze w uznaniu zasług bliźniego, a skromne w ocenie własnych, zawsze wrzące świętym ogniem oburzenia na wszystko, co poniżało godność jednostki i społeczeństwa, a wyrozumiałe dla słabości, nieodłącznych od natury ludzkiej.

Zagasł umysł, jeden z najrozleglejszych i najwszechstronniejszych wśród współczesnych, bo się nigdy nie zacieśniał do jakiejś wyłącznej specjalności, lecz wciąż usiłował w ukszałceniu swojem utrzymać równowagę między humanistycznemi a matematyczno-przyrodniczemi naukami, wciąż niezmordowanie wzbogacał swą wiedzę najświeższemi nabytkami, a nigdy nie szedł za modnemi tylko hasłami, lecz każdą pozyskaną wiadomość w swym krytycyzmie przerabiał, zanim ją sobie na stałą własność przyswoił.

Jednem słowem usunął się z pośród grona piszących i działających nietylko autor, niepospolitemi zdolnościami obdarzony, ale przedewszystkiem człowiek rozumny i szlachetny, o charakterze silnym, wytrwałym i nieposzlakowanym, jeden z tych, dla których mamy prócz uznania a poważania, i szczerą miłość także. W ciągu życia swego występował na różnych polach; a można i należy powiedzieć, że na każdem spełnił obowiązek swój godnie, zarówno w dziedzinie ducha, jak i w sferze działalności praktycznej.

Zmarły dn. 3-go b. m. w Grodzisku Adolf Dygasiński był pedagogiem, publicystą i powieściopisarzem, a po nad wszystko obywatelem kraju, dbałym o jego potrzeby, które pojmował i rozważał wszechstronnie. Jako pedagog miał uznanie ustalone i rozgłośne; jako publicysta bronił zawsze idei postępu i poprawy stosunków społecznych; jako powieściopisarz wyrobił sobie w dziedzinie malowania życia zwierząt odrębne a wybitne wśród innych stanowisko, bo całkiem nowy temat do tej właśnie dziedziny wprowadził i z talentem go przedstawiał.

Obok zdolności przyrodzonych, mianowicie nadzwyczaj rozwiniętego zmysłu spostrzegawczego, tryb wychowania i losy życia przyczyniły się do nadania umysłowi zmarłego niezwykłej, wśród literatów zwłaszcza, wielostronności.

Urodzony r. 1839 w Niegosławicach (w powiecie miechowskim), ukończył szkołę wyższą realną w Kielcach za czasów, kiedy w Królestwie Polskiem kierunek przyrodniczo-matematyczny w edukacji publicznej przeważał. Skłonności atoli do nauk humanistycznych spowodowały go do wstąpienia na wydział filologiczny w świeżo r. 1862 otwartej Szkoły Głównej w Warszawie, gdzie kolegował między innymi z najznakomitszym dziś lingwistą polskim, Janem Baudouinem de Courtenay, z językoznawcą polskim A. A. Kryńskim, z wytrawnym pedagogiem Stanisławem Mieczyńskim i in. Kursu nauk akademickich nie odbywał jednym ciągiem; musiał je przerwać, by wziąć

udział w zupełnie innych sprawach, które po latach wielu z takim humorem w książce, przyjaciołom poświęconej, opowiedział i odmalował.

Opuściwszy Szkołę Główną w r. 1866, pojechał zagranicę, czas jakiś odbywał studja w Pradze Czeskiej, a następnie osiadł w Krakowie, gdzie założył księgarnię i pensjonat pedagogiczny; przyczem zabrał się także do prac naukowo-literackich, jako pierwszy ich owoc ogłaszając przekład znakomitego w owym czasie dzieła Maksa Müllera p. t. „Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej“ (1873). Niebawem potem założył czasopismo p. t.: „Szkice społeczne i literackie“, które przez dwa lata (1875, 1876) wydawał i w których pomieścił swe pierwsze oryginalne rozprawy naukowo-edukacyjne: „Z pola językoznawstwa“, „Listy o naszem wychowaniu“.

Zwinąwszy księgarnię i pensjonat w Krakowie, przybył do Warszawy i od roku 1879 do 1888 zaczął pracować w zawodzie pedagogicznym, zasłynąwszy szczególniej świetnem rozwijaniem nauki o rzeczach, głównie na pensjach żeńskich. Równocześnie został współpracownikiem „Przeglądu Tygodniowego“, gdzie prócz pomniejszych, drukował także obszerne artykuły, przeważnie pierwiastkiem polemicznym przeniknięte, lecz dające zarazem jakąś treść pozytywną, jak np. „Nowożytne przechadzki po Erebie“, „Wychowanie nowoczesne“, „Społeczeństwo nasze w dramacie współczesnym“, „Narzeczeni, małżonkowie, rodzice i dzieci“, „Chemja, cele, zasady i czyny w wychowaniu“, „Co to jest dusza“ i wiele innych.

Oprócz stałego współpracownictwa w „Przeglądzie Tygodniowym“, Dygasiński zasilał swemi pismami oryginalnemi lub też streszczeniami i przeróbkami „Ateneum“, „Przegląd pedagogiczny“, „Encyklopedję Wychowawczą“, „Niwę“, „Głos“, „Wędrowca“, „Kurjera Codziennego“ i „Warszawskiego“.

W ścisłym związku z tą działalnością publicystyczną pozostawały prace pedagogiczne, ogłoszone w osobnych tomach: „Nauczanie bez książki“ (1880), „Pierwsze nauczanie w domu i w szkole“, „Obraz psychicznych zjawisk w organizmie ludzkim“, „Wypisy polskie“ „Podręcznik do nauki stylu“, „Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych polskich“, „Lekcje o rzeczach“, „Historja naturalna w obrazach“, „Przygody młodzieńca, czyli Robinson polski“ i in.

We wszystkich tych rozprawach i dziełach łatwo poznać człowieka, doskonale obeznanego z zagadnieniami psychologicznemi i wychowawczemi, umiejącego wybornie obserwować i wyciągać ze spostrzeżeń wnioski krytyczne, więcej atoli skłonnego do rzucania pewnych uderzających pomysłów, aniżeli do ich metodycznego rozwijania. Lotność myśli kazała mu częstokroć przerzucać się, bez przejść odpowiednich, z jednego zakresu wyobrażeń i pojęć do drugiego, z niejakim uszczerbkiem dla ścisłości i dokładności wykładu. Tym sposobem rozrzucił on mnóstwo trafnych rad, wskazówek, obserwacji, ale nie utworzył książki, w którejby spójnie się trzymały wszystkie wywody i stanowiły całość jednolitą i zupełnie wykończoną. Natomiast krótkie jego artykuły, gdzie jeden jakiś pomysł jest rozwinięty, posiadają ogromne zalety i wartoby je było zebrać i skupić razem w tomowem wydawnictwie, bo szkodaby było, ażeby te świetne błyski rozumu i talentu miały zagasnąć w rozproszonych numerach czasopism, gdzie ich nikt szukać nie będzie.

W pewnej mierze podobną uwagę zastosować można i do twórczości powieściopisarskiej Dygasińskiego.

Spostrzeżenia, porobione w ciągu życia nad dziećmi, wieśniakami, zwierzętami, trwałe zajmowanie się umiejętnościami przyrodniczemi, które w „nauce o rzeczach“ pierwszorzędne miejsce zająć musiały; a przytem owa lotność wyobraźni, przeskakująca z nadzwyczajną bystrością z jednego przedmiotu na drugi, nasunęły ś. p. Adolfowi zamiar belletrystycznego spożytkowania swoich nabytków umysłowych. Zamiar ten, wcielony w nowele, powiódł się w wykonaniu wybornie i zapewnił autorowi odrębne a wybitne miejsce w gronie naszych powieściopisarzów.

Najpierwsze obrazki, oryginalne pod względem pomysłu i formy, drukowane od r. 1880 w „Przeglądzie Tygodniowym“, a zebrane w książce po raz pierwszy w r. 1884, poświęcone były przedewszystkiem rozpatrzeniu i artystycznemu odtworzeniu życia zwierząt w ich stosunku z ludźmi.

O inteligencji psów, kotów, lisów, o ich zwyczajach i obyczajach, można się wprawdzie było doczytać w wielu poezjach i powieściach dawniejszych i nowszych; wszak Wincenty Pol cuda prawił o wyżlicy w „Starości Kiślackim“, a Syrokomla napisał obszerną biografję konia

Kosacza, ale żeby ktoś u nas nie tylko wziął za wyłączny przedmiot opowiadanie życia tych lub owych zwierząt, żeby nietylko poświęcał im więcej uwagi, niż ludziom, lecz nadto, żeby traktował to życie całkiem poważnie, samo dla siebie, bez tej intencji, ażeby pobudzić czytelnika do śmiechu lub uśmiechu (jak to robili bajkopisarze); tego nikt, o ile mi wiadomo, nie próbował przed Dygasińskim, bo nawet w literaturze obcej utwory Kiplinga nie są chronologicznie wcześniejsze, nie mówiąc już o tem, iż są zupełnie w innym tonie trzymane.

Wilki, psy, zające, lisy, bociany, gołębie, słowiki, wróble i t. d., — oto właściwi bohaterowie obrazków Dygasińskiego. W przedstawieniu ich zwyczajów i obyczajów, ich postępków, a nawet uczuć i myśli starał się autor zająć stanowisko, dalekie zarówno od sentymentalizmu, jak i od powszedniego samolubstwa człowieka, zapatrującego się na zwierzęta ze względu na pożytek lub szkodę, jakie mu przynoszą. Patrzy więc na to życie, jako na jeden z nieskończonych objawów ogólnego życia przyrody, roztrząsa przyczyny fizyczne i moralne, jakie na ukształtowanie natury danego osobnika wpływały, i, nie usprawiedliwiając postępków takich, któremi zwierzęta szkodę ludziom wyrządzają, wyjaśnia je tylko i tłumaczy, pozwalając sobie niekiedy jedynie na porównawcze zestawienie czynów ludzkich ze zwierzęcemi. Obrazek p. t. „Wilk, psy i ludzie", jeden z najpierwszych, obudził zajęcie ogromne. Znać w nim było dużo obserwacji, a jeszcze więcej rozmyślań nad psychologją porównawczą. Ten drugi czynnik służył za niezbędne wyjaśnienie wyników pierwszego i nadawał właściwe a ważne znaczenie opowiadaniu o życiu zwierząt. W objawach tego życia, autor musiał być z konieczności tłumaczem postępków, nie dających się zrozumieć z samego zgrupowania faktów. Ta konieczność wtrącania się pisarza do spraw przez siebie malowanych, konieczność zawarunkowana samą naturą tematu, usprawiedliwia dygresje, mogące się przyczynić do rozjaśnienia tego czy owego rysu w obyczajach zwierząt lub w ich stosunku do ludzi; lecz dygresje te u Dygasińskiego bywały bardzo częste i bardzo rozległe, a chociaż dostarczają one nader obfitą karm dla myśli, szkodzą przecież kompozycji utworów, rozbijają całość na cząstki, znakomite same w sobie, ale nie spojone należycie w ścisły organizm artystyczny. Dowcip, a nieraz i humor w najlepszem estetycznem znaczeniu tego wyrazu zacierał brak ten po części, a przynajmniej pozwalał o nim zapomnieć. To też takie opowiadanie, krótsze i dłuższe, jak: „Co się dzieje w gniazdach", „Targaj", „Na zwłokach zwierzęcia", „W puszczy", „Biały wróbelek", „Kwiatek", „Z psiarni, pola i kniei", „As", „Zając", „Gody życia" — czytano chętnie, podziwiając niewyczerpaną pomysłowość autora.

Równocześnie z obrazkami życia zwierzęcego, zaczął Dygasiński kreślić zarysy z życia chłopskiego, nie wzorując się na żadnym ze swoich w tej mierze poprzedników, ani na Kraszewskim, ani na Sienkiewiczu, ani na Sewerze, ani na Prusie. Pierwsza w tym kierunku praca charakteryzuje na długie lata jego twórczość. Jest nią obrazek: „Za krowę". Niema w nim zgoła barwy idealnej, niema tendencji oddziaływania w sferach inteligentnych na rzecz chłopa; jest tylko rozwinięcie popędów żywiołowych, działających jak siły przyrody. Realizm w odtworzeniu bytu chłopskiego, uwydatnienie zwierzęcej, że tak powiem strony, ale bez szyderstwa i ironji, lecz z zachowaniem, o ile można, stanowiska przedmiotowego, a ze szczerem, gorącem spółczuciem dla cierpień ludzkich są cechami zarówno tego pierwszego, jak i późniejszych zarysów życia wiejskiego wśród nowych stosunków, jakie nastały po uwłaszczeniu.

Oto tytuły główniejszych opowiadań z tej sfery: „Jarmark na Ś-ty Onufry", „Na pańskim dworze", „Niezdara", „Von Molken", „Ze stajni", „Wojtusiowe nieszczęście", „Żerty chłop", „Złodziej leśny", „Walkowe zaloty". Odrębnym od innych obrazków, bo przedstawiającym nową oryginalną postać aktora wiejskiego, są „Dramaty lubądzkie". — Gdy emigracja chłopska do Ameryki tłumnie się u nas rozwinęła, Dygasiński jeździł do Brazylji celem zbadania położenia, w jakiem wieśniacy nasi tam się znaleźli; ze spostrzeżeń wtedy poczynionych, prócz „Listów" sprawozdawczych, nakreślił znamienne i ciekawe opowiadanie p. t. „Na złamanie karku".

Malował też Dygasiński i inne warstwy społeczne; doświadczenie bowiem jego życiowe było bardzo rozległe; spostrzedz atoli można, że po za sferą wieśniaczą najlepiej mu się udawały sceny, w których występują literaci, artyści, uczeni; czuć zaś pewną przesadę, gdy kreślił obywateli wiejskich, arystokratów, przemysłowców.

Na dowód można przytoczyć niektóre bardzo szczęśliwie nakreślone ustępy w „Tajemnicach Warszawy", w „Gorzałce", w „Piórze", — pomieszane ze słabemi. Sferę szlachecką chciał typowo przedstawić w „Panu Jędrzeju Piszczalskim"; stworzył tu istotnie oryginała, jakby z wieków odległych cudem przeniesionego w czasy nowe, których zrozumieć nie może i nie chce; lecz oryginał ten w niektórych jego sytuacjach wygląda naturalnie i jest psychologicznie zrozumiały; jako całość charakteru musi być uważanym za chybiony.

Artystą, obrabiającym kunsztownie każdy szczegół, Dygasiński nie był; nie miał na to czasu, a może i ochoty; tłum myśli cisnął mu się do głowy, więc mało zastanawiał się nad tem, w jakie przybrać go kształty, byleby tylko wypowiedzieć dobitnie to, co mu najbardziej leżało na sercu. Widział wiele złego w naszem wychowaniu, w naszem życiu ekonomicznem, artystycznem i literackiem, a pragnął udoskonalenia, podniesienia poziomu myśli i uczuć, zahartowania charakterów, uświadomienia godności jednostkowej i społecznej, bił tedy ostro na wszystkie wady, temu ideałowi przeciwne; był satyrykiem społecznym. Rozrywkę, zabawę, uprzyjemnienie życia stanowiło dla niego rozważanie obyczajów i losów zwierząt: lubował się tym przedmiotem, igrał z nim swobodnie, był „poetą", chociaż nie zapominał nigdy, że wszystkiem rządzą niezłomne prawa przyrody.

Żył szlachetnie, umarł złamany powszechną niedolą naszych literatów, pojmujących zadanie swoje poważnie, nie lubiących wchodzić w układy z sumieniem i zmiennemi okolicznościami czasu.

„Gazeta Polska".

Dr. B. DYBOWSKI

O znaczeniu i doniosłości teorji mutacyjnych i ewolucyjnych w nauce i w życiu.

(Odczyt miany w kółku nieprzyrodników.)

I.

Teorje mutacyjne czyli takie, które przyjmują za podstawę dla swych wniosków powstawanie raptowne, eksplozyjne zjawisk, obserwowanych w dziedzinie biologji i abiologji, stanowią najzupełniejsze przeciwstawienie do teorji, noszących miano ewolucyjnych, czyli rozwojowych, zwanych w zakresie nauki o życiu: descendencyjnemi t. j. pochodnemi, albo transformistycznemi, czyli przeobrażeniowemi.

Te ostatnie mają na celu objaśnić proces powstawania form ożywionych, przyjmując jako warunek główny rozwój powolny postępowy, który się odbywa w ten sposób, że się gromadzą, zesumowują, kumulują drobne indywidualne różnice, początkowo prawie niedostrzegalne, lecz w rezultacie ostatecznym wznoszące się z biegiem czasu, po wielu pokoleniach do potęgi cech gatunkowych, rodzajowych etc.

Teorje pierwszej kategorji z powodu że się posługują bądź siłą nadprzyrodzoną, bądź jakąś energją mistyczną, tajemniczą, nazwać możemy cudotwórczemi, zaś teorje drugiej kategorji z racji, że tłumaczą zjawiska przy pomocy praw mechanicznych, mienić wypada mechanicznemi.

Różnice, zachodzące pomiędzy obu kategorjami teorji są znaczne, jak to już z orzeczeń wyżej przytoczonych jasno się przedstawia; tutaj tylko dodać jeszcze można dla ich dalszej charakterystyki — tę okoliczność, że się one wykluczają wzajemnie. Teorja mutacyjna bowiem nie może być mechaniczną, ani ta ostatnia cudotwórczą.

Teorje, objaśniające powstawanie istot ożywionych na ziemi, były w czasach początko-

wego rozwoju umysłowości ludzkiej bez wyjątku mutacyjnemi, przechowały się o nich wieści pewne, bo zapisywane były w tak zwanych księgach świętych, mieszczących w sobie cały zasób wiedzy społeczeństw ówczesnych, np. babilońskich, assyryjskich, egipskich, indyjskich, etc. Owe poglądy ludów wschodnich treści mutacyjnej, odziane w formę podań legendarnych, przeszły do narodów Azji zachodniej i stąd, po części zmienione, albo tylko uzupełnione, dostały się do ludów kulturalnych Europy, następnie za pośrednictwem tych ostatnich i do innych części świata, tak że już je dzisiaj nazwać można wszechświatowemi.

Rozpatrzmy bliżej jedną z takich teorji, objaśniających akt stworzenia świata i powstanie istot żyjących na ziemi. Poznawszy jedną, będziemy mieli wyobrażenie i o innych, pochodzących z czasów naiwnie dziecinnych poglądów ludzkich na świat otaczający.

Wybieram z pomiędzy wielu legend, Assyryjską, jako jedną ze starszych. Według niej: „Na początku była ciemność i otchłań wód, pozostające pod zarządem niewieściej postaci, zwanej „Omoroka“. Bóg Bel rozpołowił Omorokę. Z górnej części jej ciała stworzył niebo, z dolnej ziemię“. (Ludzie pierwotni uważali niebo jako sklepienie stałe, wzniesione nad płaską ziemią.) „Następnie stworzył Bóg Bel: słońce, księżyc, gwiazdy i pięć planet, poczem odciął sobie głowę. Bogowie inni zebrawszy ziemię z krwią Bela uczynili z tego materjału wszystkie stworzenia na ziemi; więc w wodach ryby, do których zaliczyli wieloroby, ptaki w powietrzu wraz z nietoperzami, uważanymi podówczas jeszcze za ptaków, następnie zwierzęta na ziemi i naostatek człowieka, obdarzonego rozumem i myślą boską. Dla niego też świat cały jest stworzony.“ (Zarozumiałość ludzi starożytnych, utrzymujących w swej naiwności, że świat cały stworzony został dla człowieka, daje się łatwo wytłumaczyć tą okolicznością, że oni sądzili ogólnie, iż ziemia jest największem ciałem niebieskiem, tak np. nawet Grecy, już w daleko późniejszej epoce historycznej, byli wszakże ciągle jeszcze tego przekonania, że słońce co do wielkości swojej równa się zaledwie cząstce Grecji; zresztą dzisiaj nawet niektórzy kamczadale mierzą firmament na sążnie, powiadając, że słońce już dwa sążnie swej drogi dziennej ubiegło, chcąc w ten sposób oznaczyć piątą godzinę rano w dni letnie. Otóż ludzie byli przekonani, że ziemia jest głównem ogniskiem stworzenia wszechświatowego, że w niej koncentruje się cała działalność twórcza, że następnie człowiek jest najdoskonalszą istotą na ziemi, więc prosty dla nich był wniosek i konieczny, że cały świat został dla uciechy człowieka stworzony. Tych złudzeń antropocentrycznych nie zdołały usunąć ani prace Kopernika i Laplace'a, ani też badania astronomiczne, nowoczesne. Więc co tu mówić o starożytności, wówczas każdy pomazaniec sądził, że świat cały jest specjalnie dla niego stworzony, a im był który z nich głupszy, tem był zarozumialszy.

Widzimy z powyżej przytoczonej opowieści, że starożytni mędrcy byli przekonani, iż w sposób błyskawiczny powstały rośliny, zwierzęta wszelkiego rodzaju na ziemi, ptaki w powietrzu, a ryby w wodzie, jest to więc już prawdziwa teorja mutacyjna, objaśniająca powstawanie życia na ziemi w skutek aktu twórczego błyskawicznego, eksplozyjnego.

Teorje podobne stanowiły podstawę światopoglądu całych społeczeństw, nauczane one były po szkołach, a kto naiwnym owym poglądom nie chciał dać wiary, uważany był za bezbożnika.

Ludzie kierujący nawą społeczną i sumieniem ludów, byli tego przekonania, że nieuznanie zasad teorji takich za słuszne, grozić może zagładą całej ludzkiej moralności, i koniecznie sprowadzić musi straszne nieszczęścia dla człowieczeństwa.

Ze stanowiska nauk przyrodniczych i astronomicznych legendy owe o stworzeniu świata i istot ożywionych mają ważne znaczenie, z nich bowiem poznać można zakres wiedzy, jaką posiadali mędrcy ówcześni, snujący wątek takich teorji, również ocenić możemy olbrzymią dozę ich zarozumiałości naiwnej i arogancji prostaczej, a zarazem poznajemy także obszar wiedzy przyrodniczej, jakim władali ludzie, którzy byli w stanie przyjmować podobne baśnie za prawdę.

Z innej strony jeszcze, niektóre szczegóły z zapatrywań, wygłoszonych w legendach, są dla nas ważne, a mianowicie te, które świadczą jak prostaczkowie nie znający żadnych zasad biologji, tłumaczyć sobie muszą w sposób łatwy i prosty powstawanie form zwierzęcych i roślinnych na ziemi. Otóż wszyscy tacy ludzie są zwolennikami, albo też twórcami teorji mutacyjnych, albowiem teorje takie nie potrzebują żadnych wiadomości biologicznych, a pomimo to najłatwiej przemawiają

i trafiają do przekonania, do rozumu dziecinnego. Jeden błysk woli i oto powstały ptaki w powietrzu, ryby w wodzie i zwierzęta na ziemi.

Że tak naiwnie pomyślany sposób powstawania istot ożywionych zadawalnia w zupełności rozum ludzi, nie mających pojęcia o naukach przyrodniczych, temu wcale dziwić się nie można, albowiem oni żadnej innej teorji, wykazującej zawiły proces rozwojowy, objąć myślą nie byliby w stanie, ale za to im bajka jest cudowniejszą, im filozofja mglistszą, tem łatwiej trafiają one do przekonania tłumu, który jest zawsze i wszędzie zwolennikiem cudowności, a z tej racji i hołdownikiem teorji mutacyjnych.

Wszak dzisiaj jeszcze publiczność przeciętna, patrząc na produkty pędzla, lub rylca, albo słuchając produkcji muzycznych: wokalnych i instrumentalnych lub deklamacyjnych, ocenia je zwykle ze stanowiska mutacyjnego, rzadko kto okiem ewolucjonisty śledzić może za wielce zawiłym biegiem rozwojowym tych przez siebie uwielbianych i podziwianych wytworów ducha ludzkiego. Trzeba posiadać już dużo wiedzy przyrodniczej, ażeby umieć dostrzedz związek przyczynowy pomiędzy elementami składowymi danego procesu twórczego, ażeby módz dopatrzeć przebieg nici, wiążących ruchy ręki, dźwięk głosu, z drganiami uczucia serca ludzkiego, z doświadczeniem długą pracą tysiąca pokoleń przodków i własną, osobistą nabytem, ze skojarzeniem miljonów wrażeń, i myśli przodków i swoich własnych i skupienia ich w jedno ognisko, by wytworzoną została całość, nosząca pozory nowotworu. Taką jest droga dla analizy produktów ludzkiej myśli i woli. Rozważywszy dokładnie cały taki proces, będziemy mieli przybliżone pojęcie o tem, jak jest trudną droga analizy twórczości przyrody.

Dla wielu ludzi pojawienie się genjuszów w społeczeństwach jest dziełem mutacyjnem, a dla niezliczonej ilości artystów i poetów zdaje się rzeczą możebną i łatwą powstawanie w umyśle ich własnym pomysłów błyskawicznych pod wpływem bodźca cudownego alkoholu. Wszak to była droga, kędy szły proroctwa i szamaństwa więc też dziełem atawizmu są poglądy niniejsze. Jak eksplozyjnie powstają dla ogółu ludzi wytwory umysłu człowieczego, tak też sądzą nieświadomi, że błyskawicznie powstawać musiały i muszą istoty żyjące.

Nawet dla Arystotelesa było rzeczą prawdopodobną, że pchły powstają mutacyjnie ze śmiecia, zaś z cielska lwa gnijącego pszczoły. Zresztą aż do ostatnich czasów sądzono ogólnie, że wymoczki powstawać mogą z rozkładających się materji organicznych drogą mutacyjnego samorodztwa, a dla naiwnych wieśniaczek nic nie ma naturalniejszego na świecie, jak poród djabła z jajka koguciego, albo ze „znoska“ kurzego, gdy jajo takie wylęgać będzie człowiek własnem ciepłem, nosząc je pod pachą przez dni siedm.

Od poglądów mutacyjnych nie mogła się dotąd oswobodzić ludzkość, bo wiara w cudowność jest głęboko wszczepioną w serce człowieka, przez działalność uporną i stateczną całych wieków niewiedzy. Medycyna popularna, dotychczasowa, może być wziętą za przykład dla wykazania zakresu naiwnej wiary w cudowność wszelaką.

Wszystkim się zdaje np. że choroby powstają eksplozyjnie i leczą się błyskawicznie, za pomocą cudownych środków. „Arak de goa“ „Rum Jamajka“ w ręku lekarzy, „Woda wapienna“ (aqua calcis) w rękach doktora Wolfa w Warszawie dokazywały i dokazują cudów i są niemniej głośnemi lekami, jak i inne wody i płyny tego samego pochodzenia. Wszak wiemy następnie że dosyć zażyć proszek jakiś, przez renomowanego lekarza przepisany, połknąć pigułkę, wypić flaszkę mikstury, albo „eliksiru życia“, lub innego jakiego „Leroy“ czarodziejskiego i już po chorobie, że wystarczy dalej posmarować sobie łysinę, albo dłoń nawet, maścią cudowną, a natychmiast wyrosną włosy gęste i obfite. Wiara jest wielką, jak widzimy, a wraz z nią co za szerokie i wdzięczne pole dla wyzysku głupoty, dla działalności obłudników, od proroczych owczarzy i pasterzy poczynając, a kończąc wysoko, w sferach niedostępnych dla krytyki.

Jak w medycynie, tak i w naukach prawniczych, społecznych panują poglądy mutacyjne wszechwładnie. Tutaj ograniczyć się musimy do wskazania paru tylko przykładów: Despotom się zdaje, że gdy zmusili gwałtem do wyuczenia się języka państwowego, to już zdołali w ten prosty sposób przekształcić mutacyjnie polaka w niemca, lub moskala, albo gdy wydali mądrzy ludzie przepis jaki prawny, to sądzą oni, że już przerobili na swoje kopyto skład myśli i uczuć podwładnych. Kierunek myślenia cudotwórczego wżarł się, że tak powiem w duszę ludzi wiedzy histo-

rycznej i w duszę ludzi niewiedzy całkowitej, wraz z wiarą w legendy wszelkiego rodzaju. Spojrzmy dokoła siebie, a przekonamy się łatwo, chociażby już tylko z tych seansów spirytystycznych, z tych prześcieradeł cudownych, jak jeszcze nisko stoi poziom wykształcenia przyrodniczego wśród obecnych społeczeństw. To też każdy dziwoląg nawet najpotworniejszy znajduje łatwy przystęp do umysłu tłumów, ale za to jak trudną jest do niego droga dla logicznej prawdy.

Nieść pochodnię oświaty w ciemnie dusz wierzących zdawałoby się na razie rzeczą łatwą, ale w istocie jest to zadanie niezmiernie ciężkie, bo droga tutaj jest zamkniętą przez niewiedzę, pielęgnowaną bardzo starannie wysiłkami najenergiczniejszymi władzy, bądź świadomej swoich czynności, bądź też bezwiednie działającej na mocy instynktów inercyjnych, przedpotopowych.

Przyznać musimy szczerze, że nasze społeczeństwa stoją jeszcze na poziomie wiedzy przyrodniczej, jaką posiadali Assyryjczycy, Babilończycy, Chaldejczycy, Egipcjanie. Wprawdzie znamy teraz o wiele więcej form zwierzęcych i roślinnych, ale światopogląd przyrodniczy jest ten sam, co i u tamtych.

Ci, tak zwani ludzie wykształceni, którzy dzisiaj uważają siebie za uzdolnionych do rządzenia tłumami, narodami, państwami, nie mają nawet najelementarniejszego wyobrażenia o światopoglądzie naukowym, nie znają podstaw psychologji, nie słyszeli nigdy o zasadach teorji ewolucyjnych, stosowanych do społeczeństw ludzkich, a pomimo to wszakże czują się uprawnieni do rządzenia, rozkazywania, kierując się przytem instynktami omal że nie zwierzęcymi i posługując się tradycjami rządowemi, sięgającemi czasów Atsunarzipalów i Faraonów.

Inni znowu ludzie, pracujący rzekomo nad uszczęśliwieniem człowieczeństwa, marzą zwykle w swych przemówieniach i pismach o przekształceniu społeczeństw, ale pod względem nauki przyrodniczej mają tyle wiadomości, co i filozofowie greccy, starożytni.

Ile warte są takie rządy i takie prace społeczne, wykonywane przy całkowitej niewiedzy przyrodniczej możemy osądzić, patrząc na skutki, uwidocznione przebiegiem życia politycznego doby przeszłej i obecnej.

Wybuch wulkaniczny na wyspie Martynice oświetla w sposób jaskrawy ciemnotę mas, bo tysiące, a nawet miljony widzą tutaj czynną rękę niebios karającą. Zastanawianie się nad objawami ciemnoty społeczeństw smutkiem i boleścią przepełnia się serce każdego myślącego człowieka, a wszakże to już wiek dwudziesty ery cywilizacyjnej, kiedy z dzieł naukowych czerpać można obficie prawdy, oświetlające umysł, uszlachetniające serce — niestety, dzieła te wszystkie nie znajdują przystępu do ogółu, a to z racji, że osnowa myśli tłumów spoczywa jeszcze na tych podwalinach, na których wznosiły się gmachy legend mutacyjnych.

Jakie szkody olbrzymie wyrządzają teorje rzeczone, wpływając demoralizująco na skład umysłu ludzkiego, tego sobie społeczeństwa uświadomić dotąd nie potrafiły,

Zwykle się zdaje, że postęp w kierunku moralności jest możebny przy każdym danym światopoglądzie. Otóż jest to błąd myślowy, zdradzający nielogiczność zupełną.

Szowinizm, egoizm plemienny ciasny i fanatyzm barbarzyński bywają właśnie wszczepiane w serca ludzkie światopoglądami mutacyjnymi, wznoszonymi na pjedestalu zarozumiałości prostaczej, dziecinnej, jaką posiada zawsze niewiedza, a szczególniej kultywowana i utrzymywana przez alkoholizm powszechny.

Wolno i stopniowo toczyła się i toczy ludzkość ku przepaści zwyrodnienia moralnego i fizycznego, dokąd ją popychają statecznie poglądy fałszywe i nawyknienia bezrozumne. Błyskawicznie, eksplozyjnie nie nastąpi zmiana w kierunku myśli i czynów. Do tych, co siłą woli zrzucić potrafią z siebie pęta nieświadomości należy przyszłość, reszta, idąca inercyjnie za popędami odziedziczonymi i żartująca sobie z nawoływań rozumu — zginąć marnie musi. Pragnienie gorące, ażeby nasze społeczeństwo zwróciło się ku światłu wiedzy, ażeby słuchało słów prawdy, a nie tonęło w przesądach i alkoholizmie, oto cel mojego odczytu niniejszego. Na młodych sercach i umysłach świeżych spoczywają całe nasze nadzieje lepszej przyszłości.

Patrjotyzm a antagonizmy narodowe.*)

Dziedzina uczuć nie jest czemś bynajmniej odrębnem od dziedziny pojęć. Uczuciom niemal zawsze towarzyszą pewne skojarzenia ideowe, każde też niemal wyobrażenie łączy się z jakiemś uczuciem przyjemności, przykrości, pociągu lub odrazy, miłości lub nienawiści.

Uczucie miłości ku swemu narodowi lub społeczeństwu, zwane patrjotyzmem, z natury rzeczy musi w różne czasy, u różnych klas, nosić inne zabarwienie, kojarząc się z różnemi wyobrażeniami. Nawet u tegoż samego człowieka w rożnych chwilach przyjmuje różne zabarwienie. Inne ono było u Mickiewicza, gdy go pociągały wyobrażenia krajobrazów stron rodzinnych, „pól posrebrzanych pszenicą, pozłacanych żytem“, kiedy piękność Litwy w całej ozdobie czuł i opisywał w „Panu Tadeuszu“, inne, gdy w przedmowie do tego poematu pisał o orłach naszych, które „lotem błyskawicy padną na dawną Chrobrego granicę, ciał się najedzą, w krwi całe opłyną i na spoczynek skrzydła swoje zwiną, gdy wróg ostatni wyda jęk boleści i wolność świętą, skrwawiony, obwieści“. Na te silne tony miłości i nienawiści złożyły się i te wspomnienia krzywd naszych i ucisku, jakie wyrażał Mickiewicz w III, części Dziadów i ten fizyczny pociąg do kraju, jaki ogarniał go przy pisaniu „Pana Tadeusza,“ — złożyły się echa ucisku rosyjskiego, jakie dolatywały do niego na emigracji.

Istnieje pewne skojarzenie uczuć, nietylko pojęć, pozostające we wzajemnej zależności. Dążąc do rozwoju, do życia indywidualnego, kochamy to, co zapewnia nam ten rozwój, nienawidzimy przeszkody, jemu stawiane, kochamy to, co nam współdziała, nienawidzimy to, co przeszkadza naszym celom. Uczucie narodowe może być skojarzone z nienawiścią do jego ciemięzców, a nawet do tych klas i grup społecznych tegoż narodu, które w imię swych klasowych interesów na nim nie chcą się oprzeć. Nie tylko miłość jest krzewicielką nowego życia, twórczynią nowych form, ale jest nią i nienawiść, naturalny psychiczny wynik wszelkiej walki, w której rodzą się nowe formy bytu i niweczą się przeszkody, stawiane celom i woli różnych grup społecznych.

Patrjotyzm opierający się na miłości do własnego narodu, zasilany wyłącznie wyobrażeniami solidarności interesów w łonie tegoż narodu oraz jego solidarności z innymi ludami, jest to patrjotyzm dobry dla owego niezniszczalnego złotego wieku, kiedy znikną wszelkie antagonizmy społeczne i narodowe. Lecz patrjotyzm taki jest coraz bardziej obcy dzisiejszemu światu cywilizowanemu, zawierającemu w swem łonie tyle antagonizmów. Społeczeństwo, które nim będzie żyło, niezdolne będzie do walki o swój byt, o warunki swego rozwoju. Im w trudniejszych warunkach walki znajduje się dane społeczeństwo, tem bardziej winno być ono wolne od tego rodzaju patrjotyzmu.

Patrjotyzm dzisiejszy kojarzy się z antagonizmami narodowymi, zwiększającymi się wskutek zwiększającego się natężenia w międzynarodowej walce o byt, przez co przybiera inne zabarwienie, niż przed laty. Wielokrotnie nazywałem go nacjonalizmem.

Nasza dawna demokracja odznaczała się sentymentalizmem w polityce, niedozwalającym jej widzieć realnego stanu stosunków w kraju i zagranicą, słabo odróżniała ona pożądane od istniejącego; życząc sobie interwencji Europy w sprawie polskiej, przeceniała solidarność ludów Europy; będąc zdeklarowaną szlachtą, przeoczała ona istnienie antagonizmów klasowych.

Stąd pochodziła cała niemoc naszej polityki. Nie myślano u nas należycie o wytworzeniu sił, bo przeoczano tę prawdę, że prawo nasze do bytu i rozwoju zależy od naszych sił i ich stosunku do państw zaborczych, a łudzono się czarodziejską mocą sztandarów: „Za naszą i waszą wolność“. Łudzono się, że mamy prawa, które nam gwarantują traktaty i nie chciano ich naruszać, chociaż naruszenie ich pomnożyłoby siły nasze. Przypomnijmy sobie, że rząd polski przy początku powstania nie uderzył, przez poszanowanie dla traktatu wiedeńskiego, na Litwę, gdzie mógł był znieść oddziały rosyjskie, coby rozstrzygnęło

*) Artykuł niniejszy, w drugiej zwłaszcza części, którą umieścimy w następnym numerze, nosi polemiczny charakter. Tę drugą część, wymierzoną przeciw poglądom, zawartym w artykule L. Kulczyckiego: „W kwestji patrjotyzmu i nacjonalizmu“ („Tydzień“, Nr. 22), podamy wraz z odpowiedzią p. Kulczyckiego *(Red.)*

powstanie na naszą korzyść, przypomnijmy sobie, że rewolucyjne żywioły godziły się na odwlekanie wojny po wybuchu, bo rachowały na pomoc rewolucji francuskiej. Przez długi czas nie rozumiano u nas, że ucisk polskiego społeczeństwa czy to w Prusach, czy w Rosji i reagowanie nasze na ten ucisk, nasza odporność, to dalszy ciąg tej wielowiekowej walki, jaką naród nasz prowadził z Niemcami i Moskwą, odpieraną przez nas zwycięsko aż do XVII. st. i systematycznie dążącą do zapanowania nad ziemiami polskiemi od początku XVIII. w.

Rozumiał już Mochnacki, że Moskwa nie może wyrzec się dobrowolnie ziem polskich, że przez rozbiór Polski stała się ona europejską. Tymczasem nasi rewolucjoniści z 1863 r. wierzyli w młodą Rosję, która ma stanąć z nami do walki z Rosją carską. Głos jednak rewolucjonisty Hercena, który wołał za naszą sprawą, pozostał bez echa, wpływ organu Hercenowskiego „Kołokoła“ ustał, liczba jego prenumeratorów z przeszło 2000 spadła na kilkaset. Hercena zwyciężył Katkow, przygrywający do walki bezwzględnej z Polakami. Katkow i jego zwolennicy stworzyli ideologję ucisku Polski, mianując to zwycięstwem chłopa rosyjskiego nad szlachcicem polskim, twierdząc, że tryumf Rosji, to tryumf postępu i demokracji. W tej ideologji wychowało się całe pokolenie współczesnej Rosji, rewolucjoniści wszyscy przyswoili je. A my, nieuleczalni w swym sentymentalizmie, wyglądaliśmy jako chwili wyzwolenia postępów ruchu rewolucyjnego w Rosji i przesadną doniosłość przypisywaliśmy wszelkim zatargom młodzieży rosyjskiej z rządem.

Wiara naszych dawnych rewolucjonjstów w braterstwo ludów, w ich solidarność w walce z rządami, znajdowała pewne usprawiedliwie w dążnościach Europy do 1848 r. Dążąca do wyzwolenia politycznego burżuazja wytwarzała pojęcie wzajemnej solidarności ludów w walce z rządami; w czwartem dziesięcioleciu wielki włoski patrjota, Mazzini, organizował młodą Europę: młode Włochy, młode Niemcy, młodą Polskę — do walki z rządami królów absolutnych i szlachty, do walki z rządami państw zaborczych. Przez posiadanie przez Austrję włoskich i polskich prowincyj, przez udział Prus w rozbiorze Polski — interesa Włochów, Polaków i Niemców występowały solidarnie, lecz była to solidarność nie bezwzględna, solidarność pewnych interesów, z istniejących warunków wynikających, solidarność, ograniczona temi interesami.

W parlamencie frankfurckim mówiono dużo o potrzebie odbudowania Polski, lecz większość chciała ją odbudować nie z zaboru pruskiego, ale rosyjskiego. Zjednoczenie Niemiec wymagało wspólnego wielkiego dzieła całych Niemiec, wspólnej wojny, — otóż wojna mogła być albo z Francją, albo z Rosją. W interesie demokracji leżała ta ostatnia, w interesie żywiołów junkierskich pierwsza. Rzecz więc naturalna, że parlament frankfurcki wolał ostatnią, a Bismark we dwadzieścia parę lat potem wybrał pierwszą. Jednak demokraci z r. 1848 w kwestji polskiej byli bardziej nam przychylni, niż dzisiejsza socjalna demokracja niemiecka. Na ten szeroki samorząd zaboru pruskiego, na wyodrębienie jego znacznej części z ziem Rzeszy, którego domagali się demokraci niemieccy, nie zgodziliby się dziś niemieccy socjalni demokraci. Jeden tylko Liebknecht, jako demokrata z 1848 r., pozostawał do końca życia rzecznikiem odbudowania Polski. Tego rewolucyjnego polotu, jaki miała burżuazja, brakuje proletarjatowi.

Jeżeli na ogół porównamy stanowisko Niemiec względem sprawy polskiej dziś i przed pięćdziesięciu laty, jaką olbrzymią zmianę na naszą niekorzyść zauważymy. W samej historjozofji niemieckiej zaznacza się dziś dla naszych dziejów nowszych i doby porozbiorowej prąd nieprzyjazny, całkiem odmienny od tego, który cechował prace Gervinusa i innych historyków pierwszej połowy XIX. w. Niemcy dziś urabiają dowody historyczne dla uzasadnienia naszego ucisku, aby go usprawiedliwić przed sobą.

Czy istnieje jakiś postęp w etyce międzynarodowej? Oto pytanie, na które przywykli dawać ludzie odpowiedź twierdzącą. Odpowiedź ta nie jest mylną, jeżeli weźmiemy pod uwagę długie etniczne okresy; nie mamy kanibalizmu w Europie, istnieją pewne normy postępowania z jeńcami wojennymi, jeżeli ci jeńcy nie są powstańcami — oto nieliczne objawy świadczące że w ciągu tysiąca lub przynajmniej kilkuset tysiący lat odbył się pewien postęp w etyce międzynarodowej; w krótkich, kilkudziesięcioletnich okresach postępu w tej dziedzinie zauważyć niepodobna. W ostatniej dobie szybki postęp daje się zauważyć w dziedzinie techniki i wzrostu ludności. Ale są to czynniki tylko potęgujące międzynarodową walkę o byt,

walkę o teren dla wytwarzania i zbytu, wszystko to, zaostrza antagonizmy narodowe, ale ich nie zmniejsza. Zwiększa je i ta okoliczność, że dziś unarodowiły się szerokie rzesze ludowe i walki narodowe to już nie walki kilkuset tysięcy uprzywilejowanych, a walki miljonowych rzesz. O ile świadomość jest orężem w walce, o tyle uświadomienie przez nasze społeczeństwo, że ona jest koniecznością, warunkiem naszego bytu i rozwoju, jest rzeczą niezmiernej wagi. Z tej świadomości okradają nas ugodowcy — wmawiając, że jeżeli ustanie reagowanie nasze na ucisk narodowy, to i on ustanie; tej świadomości pozbawiają nas demokraci starego autoramentu, głosząc, że postęp etyki międzynarodowej zbawi naszą sprawę, wmawiając, że maluczko, a wszyscy Niemcy przeobrażą się w Delbrücków, potępiających ucisk Polaków, a wszyscy Moskale w Cziczerinów, zgadzających się na odłączenie Królestwa od Rosji.

Paczą ją socjalni demokraci, rozsiewając naiwną wiarę w międzynarodową solidarność rewolucyjnego proletarjatu, który ma być tym aniołem, co ciężący nad nami kamień niewoli odwali. Chociaż rewolucyjność proletarjatu europejskiego stała się dziś tylko konwencjonalnym frazesem socjalnej demokracji, a pp. Pfankuch'y, Winterzy i inni pragną germanizacji kresów polskich.

Usiłują wypaczyć świadomość niezbędnej walki o warunki bytu wolnego różni neomesjaniści, sentymentalni zwolennicy ustępstw względem innych ludów, głoszący, że gdy my uczynimy daleko idące ustępstwa ludom słabszym, to nam w imię sprawiedliwości, którą urzeczywistniamy, uczynią ustępstwa ludy silniejsze, nas gnębiące. Cała doktryna tych panów w praktycznej polityce da się streścić w sposób następujący: zejdźmy z ziem, które w ciągu stulecia stanowiły i dziś stanowić mogą teren naszej kolonizacji, a ustąpią nam ziemie rdzennie polskie ziemi nasi ciemiężyciele.

Jestto absurd oczywisty, gdyż równa się twierdzeniu: zmniejszmy nasze siły, a przezto ułatwimy urzeczywistnienie celów naszych.

Lecz te wszystkie bałamuctwa polityczne nie ogarną dzisiejszego pokolenia.

Pokolenie to nie zatrzymało się na Marxie, na uznaniu tylko antagonizmów klasowych, a przyszło do przekonania, że kompletują się one antagonizmami narodowymi; ujrzało ono tam antagonizm, gdzie marxiści widzieli tylko solidarność, antagonizm interesów proletarjatu różnych krajów.

Mylnem też jest twierdzenie, że teorja antagonizmów jest pogrzebaną. Obok antagonizmu istnieje współdziałanie różnych grup społecznych, ale każde współdziałanie, jak i każdy antagonizm, określa się interesami tych grup społecznych, antagonizm na jednych punktach nie wyklucza współdziałania na innych. Antagonizm klasowy nie wyklucza tedy kompromisów. antagonizm narodowościowy przymierzy, uwarunkowanych wspólnym wrogiem. (D. n.)

LUDWIK BERNACKI.

Z korespondencji Jana Milikowskiego.

(Dokończenie).

Przystępuję teraz do ,,Ustępów z niedrukowanego poematu" i ,,Ody do wojny". ,,Ustępy z niedrukowanego poematu", jest ich dwa, ogłosił M. Mazanowski w swej pracy (p. 105—106) jako jeden ustęp, a oprócz tego wcale niedokładnie. Przy końcu umieścił wydawca następujący przypisek (p. 106):

,.Trudno rozstrzygnąć czy lepiej na słowo uwierzyć Skimborowiczowi, że wiersz ten jest pióra autora ,,Marji", — bo nie podaje Skimborowicz, skąd go odpisał; czy uwzględniwszy niewyrobioną formę, ubóstwo barw poetyckich, brak treści i oryginalności, sztuczny przytem polot uczucia, podać w wątpliwość jego pochodzenie. Skłaniamy się do tego ostatniego".

Przeczucie Mazanowskiego co do nieautentyczności „Ustępów“ było dobre. „Ustępy z niedrukowanego poematu Antoniego Malczewskiego“

są bez kwestji pióra innego autora. Dowodzi tego list H. Skimborowicza do J. Milikowskiego (zachowany w korespondencji ostatniego f. 5—6), który tu przytaczam:

„Warszawa 29 maja 1844.

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Winienem WMPana przeprosić — za mimowolne i wbrew mojemu sposobowi myślenia, qui pro quo. Dano mi 2 wierszyki Malczewskiego (istotnie Malczewskiego, ale nie Antoniego), a ja w dobrej wierze posłałem WMPanu. Teraz prawdziwy z autografu, który na własne me oczy widziałem, wypisany wiersz Antoniego M. załączam przy niniejszem z przypiskiem moim. Pisałem do rodziców na Wołyń, prosząc, aby malarzowi, jaki jest tam, najlepszy mój towarzysz akademicki, który niedawno z Włoch wrócił (Moraczyński), polecili przekopijowanie portretu Malczewskiego — i żeby przez swe stosunki wyrobili wprzód pozwolenie Rucińskich. O skutku doniosę. Zostaję na zawsze z prawdziwym szacunkiem

WMPana Dobrodzieja

Sługa prawdziwy

Skimborowicz.

W-nemu Bielowskiemu, (choć go nie znam osobiście), hołdy moje składam, bo go wielbię prawdziwie.

Cóż PP. mówicie o lipskiej Marji z przem. Seweryna?“

Owe „2 wierszyki Malczewskiego (istotnie Malczewskiego, ale nie Antoniego)“ są to właśnie owe dwa „Ustępy z niedrukowanego poematu“ (oznaczone w „zeszycie Skimborowicza“ liczbami 1, 2). Są one więc nieautentyczne, bez kwestji. W miejsce tych wierszy przesłał H. Skimborowicz Milikowskiemu „prawdziwy z autografu, który na własne swe oczy widział, wypisany wiersz Antoniego Malczewskiego“. Wierszem tym jest „Oda do wojny“. Wklejona w zeszyt Skimborowicza (f. 200—202') pisana jest na 3 kartach białego papieru w 4⁰ pismem bardzo niewyrobionem, ale dość czytelnem. Na końcu każdej strony znajdują się kustosze, a na końcu całego poematu podpis A. Malczewski. (Prócz tytułu f. 200 liczy wierszy 20, f. 200', 201, 101' po 22 wierszy, f. 202 wierszy 8 — razem liczy cały poemat wierszy 94).

Pod „Odą do wojny“ umieścił (f. 202 — 202') H. Skimborowicz przypisek, którego najważniejszy ustęp przytaczam:

„Wiersz ten, własną autora ręką, jeszcze w bardzo młodocianym wieku — i może jako najpierwsza próba, — wpisanym został do księgi pamiątek (sztambuch) Skibickiego szambelana, kuratora honorowego szkół wołyńskich, ten wprost mi od siebie udzielił“.

Zaznaczył Mazanowski w pracy o Malczewskim, że rękopis „Ody do wojny“, znajdujący się w Bibljotece im. Ossolińskich w zeszycie Skimborowicza jest prawdopodobnie autografem (p. 103 i przypisek 1). Po dopiero co przytoczonym liście i przypisku Skimborowicza z całą pewnością twierdzić możemy, że rękopis „Ody do wojny“ znajdujący się w Bibljotece Ossol., w zeszycie Skimborowicza, jest tylko kopją. Pisze bowiem wyraźnie w liście Skimborowicz, że załącza wiersz Malczewskiego „prawdziwy z autografu wypisany“, w przypisku zaś podaje, że wiersz ten został wpisany do sztambuchu Skibickiego i ten mu go wprost od siebie udzielił. Ta ostatnia wiadomość podana przez Skimborowicza jest dwuznaczna i może prowadzić do mylnych wniosków.

Podam teraz kilka dowodów, które same się nasuwają i świadczą mocno, że rękopis „Ody do wojny“ przechowany w Bibl. Ossol. jest tylko kopją. Do dowodów tych nie trzeba wcale znajomości korespondencji Milikowskiego!

1. W przypisku pisze Skimborowicz, że wiersz ten „wpisany został do sztambuchu Skibickiego i że ten mu go od siebie wprost udzielił“. Trudno przypuścić, by Skibicki dla zadośćuczynienia prośbie Skimborowicza wiersz ów z sztambuchu wydzierał, wiersz poety, którego znał osobiście bardzo dobrze i którego imię brzmiało coraz rozgłośniejszą sławą. Chodziło tylko przecie o wydrukowanie tego utworu, a do tego wystarczała dokładna kopja, jaką właśnie Bibl. Ossolińskich posiada (tylko nie nazbyt dokładną).

2. Wójcicki wydrukował po raz pierwszy „Odę do wojny“, w „Cmentarzu powązkowskim“ (T. I. str. 248/9), poprzedzając jej tekst następującą uwagą: „W imionniku szambelana i członka R. Senatu Skibickiego łaskawie nam udzielonym, oprócz wielu wierszy francuskich ręką autora Marji skreślonych znaleźliśmy oryginalny utwór własnoręcznie wpisany. Podajemy go tu w ustę-

pach, jako pamiątkę dotąd nieznaną“. Pisał to Wójcicki w 1854 r. Gdyby Mazanowski postarał się był o przypuszczalną datę, z jakiego mniej więcej okresu czasu pochodzi zeszyt Skimborowicza (mógł zaś to bardzo łatwo osiągnąć — pisze bowiem Skimborowicz w ustępie pt. „Sprostowania“ etc. że jest dziś redaktorem głównym „Przeglądu naukowego“. Mogło to więc być w latach 1842—1848, kiedy swoje notaty i materjały ułożył i zebrał) tem samem zaś i rękopis „Ody do wojny“ i porównał ją z rokiem, w którym pisał Wójcicki, byłby z pewnością ani chwili nie wątpił, że rękopis „Ody do wojny“, przechowany w Bibljotece im. Ossolińskich jest tylko kopją.

3. Świadczy Wójcicki (Cm. pow. I str. 246—7), który widział autografy listów Malczewskiego, świadczą dwa autentyczne bez kwestji kwity, że poeta podpisywał się nie Malczewski, ale Malczeski. Pod „Odą do wojny“ jest w zeszycie Skimborowicza podpis Malczewski. Jaskrawa sprzeczność w podpisach. Dodawszy do tego wiadomość Wojcickiego (Cm. pow. I p. 46), który podaje, że pod żadnym z wierszy, umieszczonych w Souvenir d'amitié Skibickiego Malczewski ani się nie podpisał, ani nawet nie położył cyfry swojej, podpis Malczewskiego pod „Odą do wojny“ w rękopisie w Bibl. Ossol. popada w wątpliwość, a w końcu po dokładnem zbadaniu charakteru pisma Skimborowicza w zaraz następującym przypisku okazuje się falsyfikatem (imitacją) Skimborowicza.

Wojcicki wydrukował „Odę do wojny“ „w ustępach“. Narzuca się mimowoli postulat porównania tekstów: Wojcickiego i rękopisu „Ody do wojny“ w Bibl. Ossol. Po porównaniu tekstów, z których pierwszy jest poprawniejszy, drugi zaś pełniejszy, okazuje się, że bardzo mało co brakuje u Wojcickiego, tak, że przedrukowywać „Ody do wojny“ nie warto (chyba tekst z „sztambuchu“ Skibickiego, który byłby tekstem podstawowym). Tu i ówdzie są odmianki tekstu, szczególnie w kopji w Bibl. Ossol. (są to omyłki kopisty, poprawiane czasem inną ręką — nowy dowód, że rękopis „Ody do wojny“ w Bibl. Ossol. nie jest autografem, ale tylko kopją), często są opuszczone całe wiersze (33—34, 66) te pomijam, pozwolę sobie tylko przytoczyć koniec „Ody do wojny“ podług rękopisu Bibl. Ossol., którego u Wojcickiego brakuje całkowicie (ciekawe jest to, że ustęp brakujący u Wojcickiego zaczyna się w rękopisie Bibl. Ossol. na zupełnie nowej stronie). Koniec ten brzmi następująco:

„Tak, jest Bóg niewinności co wsparcia użycza
I przed którym, napaści drży ręka zbrodnicza
Jest Bóg zemsty, i który pobłażywszy (!) chwilę
Wnet da uczuć swe razy najezdnika sile! —
O zdobywcy narodów! o świata tyrani!
Chlubne laury, pochlebstwo przynosi wam w dani,
Lecz pokój duszy, szczęście, z którego wypływa
Wam nieznany, z miernością (!) i cnotą przebywa“.

Na zakończenie słów parę.

Skimborowicz przyobiecał Milikowskiemu wystarać się o portret Malczewskiego u Rucińskich, który miał przekopijować jego kolega szkolny, Moraczyński. Kopja ta zapewne nie została sporządzona, jeżeli weźmiemy pod uwagę to, co pisze Zofja Rucińska w 1860 r. (16 kwietnia, Berdyczów; Wojcicki, Cm. pow. t. I str. 44): „Portretu Antoniego Malczewskiego nie posiadam; mam tylko portret jego matki...“ Jeśli więc nie było oryginału, nie mogło być i kopji.

Skimborowicz miał przyrzeczoną sobie korespondencję Malczewskiego z generałem Kosseckim. W „Sprostowaniach“ pisze o tem: „Mam przyrzeczone udzielenie mi tych listów. Gdy otrzymam, udzielić W-mu Milikowskiemu nie omieszkam“. Czy je otrzymał, a Milikowskiemu udzielił, nie wiadomo.

Wśród olbrzymiej ilości wydań „Marji“ nie mamy jeszcze do dziś dnia edycji krytycznej, sporządzonej podług rękopisu poety z odmiankami tekstów podług wymagań krytyki naukowej. Rękopis, autograf znajduje się w Bibljotece Raczyńskich w Poznaniu pod sygnaturą II. H. bb. 48. Opis jego podaje „Katalog Bibl. Raczyńskich w Poznaniu“. Tom I. Poznań 1885 nr. 129 p. CCI. Jest to autograf poety, przeznaczony dla cenzury zawiera 1467 wierszy na 62 stronach, prócz tego 8 stron objaśnień.

Portretu Malczewskiego nie znamy zupełnie. Jedyna znana podobizna poety jest mocno zakwestjonowaną.

Jest to miedzioryt pochodzący ze zbiorów Augusta Bielowskiego. Okazał się on najpierw w „Zbiorze pism różnych autorów, wydawa-

nym przez Ludwika Zielińskiego“ (P. Piller, 1835) czyli w „Lwowianinie“ w zeszycie 17 na str. 143 przed „Obrazem życia Antoniego Malczewskiego przez A. Bielowskiego“, w ostatnich czasach odbił go Stefan Demby w swoim „Albumie poetów polskich“.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

I powtarzała te wszystkie zaklęcia zakochanych, albo też udających zakochanych, które, wypowiadane przez piękną dziewczynę, nie budzą zwykle powątpiewań. Powtarzała je z oczyma pełnemi łez, darząc całusem ust gorących, gdy się tylko zdarzyła sposobność.

Cóż, kiedy sposobność zdarzała się rzadko i krótko.

Daremnie Ignaś miał zawsze w kieszeni jaki klejnot, którym probował uśpić czujność cerbera. Klejnoty oglądano, cieszono się nimi, ale cerber nie ustępował.

Matka i córka rozebrały role tej powszedniej komedji pomiędzy siebie i odgrywały tak dobrze, że Ignaś nie wątpił o gorącej miłości Naci, która oddałaby mu się bez wahania, gdyby tylko matka nie strzegła jej, jak oka w głowie.

Ach, jak ona jej strzegła! jak żandarm powierzonego sobie spiskowca, od powieszenia którego jego awans zależy.

W takich okolicznościach romans klecił się szybko. Trudności podniecały zachciankę Ignasia, nadawały jej cechę namiętną. Zaczął myśleć na serjo o wykradzeniu popadjanki, nie obrachowując, że był to krok niebezpieczny, tembardziej, że ta dziewczyna wywierała na niego wpływ coraz większy. Używała ku temu prostych środków, które wobec pospolitych natur, nigdy nie zawodzą, a niestety, działają często nawet na wyborowe. Skoro tylko Ignaś otworzył usta, nie odrywała od niego oczu, każdy wyraz uważając za wyrocznię. Wszystko, co powiedział, było mądre, co zrobił, doskonałe. Jakże nie miał być nią zachwycony?

Od dzieciństwa ubóstwiany niemal przez owdowiałą matkę, przywykł do atmosfery uwielbień tak, iż powoli każdy opór lub naganę uważał za osobistą urazę, której nigdy zapomnieć nie mógł. Uraza taka budziła w nim głuchą chęć odwetu, a nawet wyraźną przekorę i niechęć, mogącą w danej chwili dojść do nienawiści.

Taką urazę chował w sercu do całej rodziny, choć może nie wyznał tego przed samym sobą. Przytem względnie do jego charakteru, matka i siostry postępowały z nim wprost przeciwnie, niż należało. A znów postępować inaczej, było dla nich niepodobieństwem. Leżała w ich wzajemnym stosunku niezwalczona konieczność przeciwnych natur. Ignaś pierwszy wykopał przepaść pomiędzy sobą a rodziną i nic na świecie wyrównać jej już nie mogło. Był to fakt niepowrotny. Wszelkie usiłowania wyrobienia jakiegoś modus vivendi zaostrzały tylko stosunki.

Tu leżał może pierwszy powód miłostki z popadjanką. Działał na niego nie sam urok ładnej, wesołej dziewczyny, bo takie dziewczęta mógł znaleźć na każdym kroku. Ale to, że spotkał ją po raz pierwszy w złej chwili, działała niewyznana może samemu sobie przekora. Tak przynajmniej było z początku. Reszty dopełniła natarczywość Natalji i słabość charakteru Ignasia.

Ma się rozumieć nie przeszły mu nawet przez głowę marzenia Jedniewiczowej i jej córki. A gdyby i przeszły, roześmiał by się tylko i wzruszył na nie ramionami. Bo chociaż wyrzekał się puścizny Brzeszcza, miał wysoko rozwiniętą dumę rodową, wobec której związek z Natalją zdawałby mu się wprost niemożliwy. Miłostka przecież do niczego nie obowiązuje, wszak monarchowie nawet nie troszczyli się o pochodzenie swoich kochanek. On mógł pójść za ich przykładem.

Tymczasem najgorszą przeszkodę stawiał mu Dniepr. Gdyby konno lub powozem dojeżdżał do promu, wiedzianoby o tem w Malińcach. Gdyby nawet użył łodzi, choć wioślarzem nie był, od popowszczyzny do rzeki było daleko.

Wobec tej trudności, przychodziła mu chęć gwałtowna potargania wszystkich więzów. Zabrałby Nacię do Urbicz, Jedniewiczowa sprzedałaby córkę za parę tysięcy rubli. Tak sądził przynajmniej. Czemuż więc on, Ignacy Marski, przyszły pan Maliniec, miał się krępować?..

Ale matka...

Rozsądne matki zamykają oczy na miłostki pełnoletnich synów, zwłaszcza, gdy ten syn ma dom własny. Przychodziło mu na myśl wiele podobnych przykładów. Okolicznością obciążającą było pochodzenie Naci. Ale co u djabła matce do jego kochanek? To przecież nie żona.

Tak rozumował, ile razy był na jakiem kawalerskiem zebraniu, spotkał się z którym z młodych kolegów, a osobliwie z baronem, bo ten miał na niego wpływ wielki. Ale znów kiedy był w Malińcach lub chociaż tylko przypomniał sobie dom rodzicielski, czuł w głębi duszy, iż są rzeczy, których matka nie przebaczyłaby mu nigdy. Lepiej było trzymać je w tajemnicy.

Tajemnica jednak była już tylko tajemnicą z komedji. Nie znała jej pani Teresa, ani jej córki, ale głuche wieści o miłostce Ignasia doszły do Berwicza, bo chodził zasępiony, ponury, czasem zamyślał się nagle, urywał w pół słowa i tracił wątek rozmowy.

— Co tobie, Berwisiu? — pytała go wówczas Marynia.

Pani Teresa nie pytała, tylko wzrok jej zatrzymywał się na nim, niespokojny. A on wówczas zmyślał jaki gospodarski kłopot. Lękał się nadewszystko, by zła wieść do niej nie doszła, wiedział, że mogłaby ją zabić i przeklinał swą bezsilność wobec okoliczności, przeklinał Natalję, a nadewszystko przeklinał Ignasia.

— Nigdyż — myślał — nie będzie z nim spokoju? Choćby go tysiąc razy wyratowali z upadku, przyjdzie niebezpieczeństwo, któremu nie podołają. Dziś lub jutro zginąć musi... Niechby zginął. Ale z nim zginą Malińce...

I przypominał sobie dzień, kiedy syn narodził się w tym domu, przynosząc radość, nadzieję, przypominał, gdy wzrastał jako przyszły spadkobierca tradycji, ten, co miał dalej prowadzić prace rodziny, przechowywać ich cnoty, ich miłości.

Na te wspomnienia łzy zalewały mu serce, dławiły go, gdy chciał przemówić, a nieraz nawet wzbierały do oczu. Unikał pani Teresy, unikał Maryni, nawet Jadzieńka rozchmurzyć go nie mogła.

Najwierniejszym towarzyszem był mu teraz Maksym. Wiedział on zawsze wszystko, co wiedzieć było potrzeba, a umiał milczeć, jak zaklęty.

Teraz, gdy w południe Maksym odnosił klucze, miał często coś do powiedzenia Berwiczowi, co nie tyczyło się gospodarstwa. Wówczas zamykał drzwi, zbliżał się po cichu i mówił prawie szeptem.

Pewnego zaś dnia wszedł z twarzą tak ponurą, iż Berwicz zapytał od razu:

— Co powiesz?

— Djaczek prosił o łódź. Gadał, że chce ryb nałowić.

— Dałeś?

— Dałem — odparł. — Przecież jest rozkanie pani, żeby nie odmawiać.

Rozkaz ten widocznie Maksymowi do przekonania nie trafiał.

— Trudno — mówił, jakby tłumacząc się Berwicz — pani tak chce.

— Nasza pani to i poganinowi użyczy.

Wiadomość nie była tak ważną, by usprawiedliwić ponury wyraz Maksyma. To też był to wstęp tylko. Teraz zbliżył się on więcej jeszcze, nachylił nad Berwiczem, a chociaż byli sami, mówił dalej szeptem, jakby lękając się, żeby kto słów jego nie pochwycił:

— Ale łódź to ta nie na ryby.

— A na cóż, u djabła?

— Kto ta wie. Ale oni ryb łowić nie będą, sieć mają podartą.

Maksym był zawsze o wszystkiem powiadomiony i Berwicz mógł być pewny, że powie mu jutro, na co łódź była potrzebna.

XIII.

Rodzina Jedniewiczów wcale nie odznaczała się jednością. On i ona od bardzo dawna nie powiedzieli sobie dobrego słowa. On, wyrzucony z kolei, wzgardzony, pogardzający sam sobą, trapiony wyrzutami sumienia, miał jakiś smętny świat osobny, do którego nikt nie miał wstępu. Żył z naturą, albo też wśród pijanych marzeń. Córkę ko-

chał do szaleństwa, ale po swojemu. Gdy szło o nią, miał sąd trafny, tylko pomimo to dziewczyna robiła z nim, co chciała.

Trapił się nadewszystko jej przyszłością, a w miarę jak dorastała, rozumiał lepiej, że grzech jego spadał na nią, Nie było dla niej miejsca między uczciwymi ludźmi. Kto się z nią mógł ożenić? Ot, gdyby jeszcze chciała pójść za syna popa z Bielin. Pop ten mieszkał w sąsiedztwie, znali się oddawna, a że obadwaj byli z unitów, nie mieli sobie nic do wyrzucenia. Gdyby się ich dzieci pobrały, byłby mógł czasem myśleć, że wszystko szło po dawnemu.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Słowacki i nowa sztuka (modernizm).* Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Studjum krytyczno-porównawcze przez Ignacego Matuszewskiego. Warszawa 1902. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Nie jest to zapewne jedno z tych dzieł, któreby nowem światłem rozjaśniało mroki, któreby z prawd, w łonie przeszłości i teraźniejszości drzemiących, stwarzało prawdę nową, lub chociażby wskazywało drogi do prawdy tej wiodące, drogi własne, nikomu do tej pory nieznane i było, jednem słowem, rewolucją i fermentem twórczym. Książka p. Matuszewskiego to tylko uświadomienie sobie przez jednostkę o wysokiej inteligencji i kulturze pewnych etapów rozwojowych, po jakich ostatnimi czasy kroczyła nasza estetyka, to sumienne i wyczerpujące w odniesieniu do danej postaci naczelnej zszeregowanie i analiza przyczyn i skutków, które, razem wzięte, sprawiły, że ta właśnie postać „najstarszego z najmłodszych“ w estetyce tych najmłodszych na plan pierwszy wysunąć się u nas z czasem musiała. A że tą postacią naczelną jest Słowacki, o którym tylu z twórców współczesnych powiedzieć może, z mniejszą lub większą słusznością, że on to był dla ich pokolenia mlekiem i miodem i krwią duchową i oni z niego wszyscy; że potrzeba wyjaśnienia lub chociażby próby wyjaśnienia zachodzącego pomiędzy nimi stosunku leżała już poprostu w samej atmos.erze chwili obecnej, że wreszcie próby tej podjął się człowiek zbrojny w ogromny aparat nieodzownej erudycji i chociaż sam nie „młody“ już, ani „najmłodszy“, a może właśnie dlatego, posiadający przy sporej dozie dla tych „młodych“ prądów zrozumienia i odczucia, sąd trzeźwy i bezstronny, bo zapałem rewolucyjnym i apostolskim niezmącony — na skutek tego wszystkiego książka jego jest dziełem na ogół sprawozdawczem tylko, ale dziełem o niepospolitem dla nas znaczeniu kulturalnem i wartości. A musi niem być u nas, chociażby samym już tylko poruszonym przez siebie umiejętnie tematem. Bo chociaż właściwie nic nowego nie przynosi ona młodym, tym, dla których Słowacki, to w poezji naszej: *magnus parens*, poeta *par excellence, der Dichter*, jakby krótko o nim powiedział Niemiec; bo chociaż tym młodym przynosi ona niekiedy za mało może, a w każdym razie swoim rzeczowym, spokojnym tonem do djapazonu ich uczuć się nie dostraja — to jednak ogółowi naszemu przynosi ona bardzo wiele. W czasach bowiem, kiedy z katedr uniwersyteckich, w książkach i w łamach pism mandaryni różni wygłaszają wciąż jeszcze monstrualne w swem wstecznictwie zdania o „największym artyście naszej poezji“, a publiczność wobec tych sądów „fachowych“, napotykając z drugiej strony coraz częściej na apoteozę nieraz bezkrytyczną, podobna jest doprawdy — do „śledzia w głębinach morskich, na gorset natrafiającego“, w tych czasach i usiłowanie bezstronnego oświetlenia stosunku Słowackiego do „modernizmu“ i zanalizowania twórczości jego w duchu najnowszych zasad estetycznych jest w każdym razie dla piśmiennictwa naszego nabytkiem cennym, a dla szerszej publiczności źródłem pouczających wysoce informacji. A że, jak powiedziałem, książka p. M. spełnia to zadanie sumiennie i wyczerpująco, że przytem, trzymając się ogólnego tła europejskiego, daje wiele wartościowych spostrzeżeń krytyczno-porównawczych, przyczyniających się do wyjaśnienia najnowszych prądów naszej literatury w związku z literaturą i sztuką ogólnoeuropejską ostatnich czasów, przeto więc, chociaż poruszony przez nią temat pogłębiony zapewnie zostanie i w niejednem uzupełniony, to jednak wartość swoją niepospolitą dla ogółu zachowa ona (obok studjum Jellenty) na długo jeszcze u nas, gdzie, zwłaszcza w poruszonych przez nią kwestjach, panuje na ogół wciąż jeszcze krytyczny, a raczej bezkrytyczny chaos nie do opisania. W czasach, kiedy p. Hoesick wziął w arendę Słowackiego... garderobę, a do „młodej Polski“ *viribus unitis* zabierają się pp.: Flach i Mazanowski, w takich czasach książka p. M. należy bądź co bądź do *rari nantes in gurgite vasto* i podwójnie na uznanie i wdzięczność zasługuje.

A. C.

*

Adolf Czerny. *Istoty mityczne Serbów łużyckich*, z łużyckiego tłumaczył Bronisław Grabowski. (Odbitka z „Wisły“). Warszawa 1901.

Omawiane dzieło jest zbiorem wszystkich podań ludu serbo-łużyckiego o nadnaturalnych mitycznych postaciach. Autor zebrał je w jedną całość dlatego, że przeważnie były one drukowane po mało dostępnych czasopismach, zwłaszcza dla obcych uczonych. Ponadto

dodał p. Czerny sporą ilość baśni, ukazujących się dopiero w tej książce po raz pierwszy. Co więcej — poszczególne postacie usiłował wytłumaczyć, genezę ich w wyobraźni ludu rozjaśnić. Naturalnie możliwe to wszędzie nie jest. Z przeglądu tych postaci nadnaturalnych okazuje się, że są one niejednokrotnie bardzo zbliżone do takichże istot świata nadzmysłowego u ludu polskiego. Naukowa strona rozstrząsań autora jest silna, bo stanął on zupełnie słusznie na stanowisku najnowszej szkoły badaczy mitologji, jak: Langa, Krala i Karłowicza.

St. Zdziarski.

PISMA. *Pogląd na świat* zawiera w majowym zeszycie nader urozmaiconą i interesującą treść. Rozprawa o Stanisławie Herakliuszu Lubomirskim, pióra Chmielowskiego zapełnia dotkliwą w naszej literaturze lukę, — postawiwszy we właściwem oświetleniu postać wybitną — a dotychczas mało znaną i zamroczoną. Wprawdzie Brodziński pomieścił w *Liście o polskiej literaturze* „polskiego Salomona“ pomiędzy największymi moralistami „francuskimi“ i zachęcał współrodaków do ponownego ogłoszenia jego utworów, — jednak nieprzychylna ocena działalności Lubomirskiego przez Euzebiusza Słowackiego, — zadała cios marzeniom śpiewaka Wiesława. Tak, biedny Lubomirski pozostał w cieniu, chociaż inny współczesny mu pisarz, Fredro, mądrała i anarchista polityczny, przezwany polskim Laroche-Foucault'em chodził w blasku i glorji, — jakkolwiek mu ani talentem, ani wielkością obywatelskiego ducha nie dorównał. Dopiero Tyszyński zaczął kopję kruszyć za pchniętym w cień Lubomirskim, — a za nim poszedł Aleksander Brueckner, upomniawszy się w dodatkach rozprawy o Wacławie Potockim o przywrócenie należytego w dziejach literatury stanowiska tej nader ciekawej i wybitnej postaci. Rzeczywiście zajął się nią Tarnowski w swej „Literaturze“ i jakkolwiek nie rozpłynął się w pochwałach nad synem Jerzego, — rebellanta z pod Mątew i Częstochowy, — przyznał mu, że czuć umiał mądrze i myśleć logicznie, — że był na swój czas rzadkim rodzajem umysłu, widzącego i rozważającego szerzej i uczciwiej — niż tysiące innych. W poezji swojej, — nie sięgając nigdy szczytów Olimpu, — jest Lubomirski naśladowcą wzorów włoskich, — idzie ścieżkami Morsztyna, szukając natchnienia u Marina, — za to znacznie wyżej się wznosi jako moralista i statysta w „Marności Rad“ i w „Rozmowach Artabresa i Ewandra“. Zasługą jego pozostanie, że w epoce powszechnego zepsucia językowego, pisał względnie czystą polszczyzną, wystrzegając się przyprawy cytat łacińskich. — Artykuł „Anglicy o współczesnej literaturze polskiej“ — jest streszczeniem bezimiennego studjum z Quarterly Review T. I. r. b. — Omówiono tu działalność moderny: Przybyszewskiego, Reymonta, Sieroszewskiego, — także Sienkiewicza. Autor unosząc się nad wartością niepospolitą tych twórców, — ciekawe zaznacza w końcu uwagi: „Wadą wspólną większości pisarzów polskich jest przesada w kolorycie i spazmatyczna gwałtowność wzruszeń. Zdaje się jakoby nie umieli odróżnić gwałtowności od siły; dążność więc ku naturalizmowi, zniechęcająca do wyrażenia uczuć osobistych, byłaby dla nich korzystną, gdyby się tylko poczuwała do doprowadzenia ich do właściwej miary“.

E. Ł.

*

Poradnik językowy Nr. 6 i 7. Oprócz sumiennie napisanego dalszego ciągu artykułu p. t.: „Językoznawstwo a gramatyka“ i drugiego: „Język, czy styl urzędowy“ — znajduje się w zeszycie cały szereg, czy rejestr grzechów, przeciw stylowi i gramatyce, powyciąganych z różnych dzieł i bardzo ciekawe dwa projekta, — jeden praktyczny i rozumny — drugi może ideowy i w dobrej wierze poczęty, ale utopijny. Prof. Józef Dobrowolski radzi, aby do wykorzenienia spaczeń lingwistycznych zabrano się już w szkołach średnich i baczną uwagę młodzieży zwracano na wszystkie obce wtręty, które można doskonale zastąpić swojskimi wyrazami. W tym celu należy treść numerów „Poradnika“ ułożyć według pewnego planu w całość i korzystać z niej sumiennie na lekcjach języka polskiego. Inny projektodawca, p. M. A., oburza się na zachwaszczenie stylowe dziennikarstwa naszego i radzi publiczności, aby — odgrywając rolę sumiennego cenzora, — zwracała redakcjom numera z silnie podkreślonymi czerwonym ołówkiem błędami. Biedne redakcje będą musiały utrzymywać generalnego purgatora dla siebie i w rzadkich chwilach wytchnienia zastanawiać się nad swoimi grzechami! Słusznie zwraca redakcja „Poradnika“ uwagę na niewykonalność podobnej złudy i podaje jako jedyny sposób wejścia na właściwą drogę: szerokie przebudzenie się „sumienia językowego“.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8